Rok 1884. We Lwowie, Poniedziałek dnia 3 Grudnia Nr. 47

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO”

pod redakcją *Stanisława Rossowskiego.*

Gwiazdy.

Gdy dziecię pierwszy raz na świat boży,
Zwróci swe oczy,
Szczęścia mu żadna chmurka nie trwoży,
A świat w uroczej
Jasności tonie z brzegu do brzegu...
Więc w słońcu złota
Szuka i szczerych brylantów w śniegu...
Śmiechu pustota
Treścią mu życia zda się jedyną,
Skroń strojna wieńcem,
Twarz. skdą wesela blaski nie giną,
Kwitnie rumieńcem,
I gdy tak w jutrzni obłokach brodzi
W złudzeń kolei,
Zwolna nad dziecka kolebką wschodzi —
Gwiazda nadziei.

Dziecko wyrosło już na młodziana,
Jeszcze mu lica,
Krasi wesela łuna różanna,
Jeszcze źrenica
Tli się zapałem, choć chmurka lekka,
Jak mgła w promieniu,
Czasem w niej mignie, lecz znów ucieka
Jeszcze mu w cieniu,
Drzemią gdzieś przyszłe tęsknoty życia;
Sceptyzm chłodny
Jeszcze nie wyjrzał z zwątpień spowicia;
Jeszcze czas zwodny
Miłości, śni się w wiosenne noce,
I spokój płoszy
I jeszcze nad nim gwiazda migoce,
Gwiazda rozkoszy.

Anna Kłopotowska.

Gdzie szczęście?

Rzecz z epoki Dyoklecjana.

napisał

TADEUSZ GRABOWSKI.

(Ciąg dalszy).

Teraz Flawja oblała się rumieńcem i cicho odrzekła:

— Nie jestem już dzieckiem Fulwjuszu, a myśl moja wybrnęła z mgieł nieświadomości pierwotnej. Gdy powróciłeś z swych podróży po obcych morzach i lądach, spostrzegłam, że brak mi tak rozległych wiadomości w rozmaitych kierunkach wiedzy, jakich ty nabyłeś, słuchając mistrzów w starej szkole Akademosa i Aleksandrji... Dano mi kosztować wiedzy, ale w dawkach tak małych, że rozmyślając czasem nad przyszłością naszą i całej ludzkości nie potrafiłam sobie wytłumaczyć niczego w sposób zadowalniający... Kilkakrotnie chciałam ci się zwierzyć, Fulwjuszu, z mych marzeń i zawsze odkładałam to do czasu, kiedy pewien ład zapanuje w moich myślach który pozwoli mi zrozumieć się całkowicie.

Urwała, a w promieniejącej niezwykle z zapałem jej twarzy zapanowała powaga i uroczystość wielka. Oblicze Fulwjusza przebierało odcień bardziej posępny i zadumany.

— Sądzisz więc, Flawjo, odezwał się po chwili z smutnym uśmiechem — że odgadłaś to, czego nie potrafił rozwiązać ani Zeno z Cittium, ani wielki Cicero, ani mądry Seneka? Ja i cały świat, w którym żyjemy, porzuciliśmy już dawno wiarę w bogi, albowiem, jak mówi Epikur, jest to koniecznością nieubłaganą.. Obojętność na cierpienia, którą peleca Epiktet, używanie mniej lub więcej roztropne życia, jak radzi Epikur, to ideje, w które dziś nie wątpimy... Bóg nasz nie dba o nas, choć stworzył nas, bo zmusiła go do tego konieczność...

Flawja stała nieruchoma, ale gdy Fulwjusz zamilkł odezwała się:

— Czy nie spostrzegłeś na sobie Fulwjuszu, że w duszy tej walczyły i walczą dwa przeciwne prądy? Jeden niósł z z sobą żądze potępione przez ptaków, których wielbicielem jesteś, a drugi rwał się ku ideałowi piękna, dobra, szczęśliwości, jakiej nie widziałeś nigdzie ani nie czułeś sam w sobie. Czy sądzisz, że wielu ludzi nawet z najwyższej sfery podziela zasadę filozofa z Cittium, że cnota jest bezwzględnem dobrem, gdy jest ona tylko przemijającym i nietrwałym wypadkiem życia ludzkiego? Niewiara w sprawiedliwość i rządy Boga nad światem czyni z dzisiejszego naszego społeczeństwa, opartego niegdyś na niewzruszonych i trwałych podstawach religji i moralności, ów szalony chaos atomów, który był wedle Epikura przed stworzeniem, a raczej utworzeniem się wszechświata a który rośnie z dniem każdym, aż doprowadzi wszystko do zniszczenia. Wierzyć w Boga i jego sprawiedliwość. to wierzyć, że cnota i dobr

nie jest wymysłem filozofów, ale warunkiem istnienia i prawdą najwyższą. Czy sądzisz Fulwjuszu, że długo utrzyma się społeczeństwo bez tego węzła z żelaza i dyamentu, o którym mówi gdzieś Plato?

Fulwjusz cofnął się, jakby ujrzał coś, co zastąpiło mu nagle drogę. Otworzył szeroko oczy i pozostawał tak długo w nieruchomości trwałej i niemej.

— Czy nie czułeś Fulwjuszu — ciągnęła Flawja z rosnącem uniesieniem, które purpurowym rumieńcem barwiło jej twarz liliową — że istnieje w tobie ów dajmon Sokratesa, który pragnie idealnego dobra, który woła czasem wśród samotności o sprawiedliwość Opatrzności i jej rządy nad światem, który szamocze się wściekle na myśl o śmiertelności swojej, któremu kontemplacja i obojętność stoika przydaje więcej mąk niż Hades może ich przydać Tantalowi? Tak Fulwjuszu, widzę po twych smutnie uśmiechniętych oczach, że tęsknisz nieraz do bezwzględnej doskonałości, że serce boli cię nieraz w spokoju, że śledzisz oczyma dróg na szafirach naszego nieba które wiodą tam, gdzie przebywa droga istota doskonała bo uwierzyć w możliwość i istnienie dobra, to wierzyć w możliwość istnienia Boga... Wiem, że czujesz, jak ja do dnia wczorajszego, próżnię w sobie tak wielką, że nie potrafiłyby jej pewnie zapełnić ani bogactwa Romy, ani potęga swego Cezara.

Na te słowa Fulwjusz zasłonił sobie oczy, a wyszeptawszy coś cicho spojrzał na Flawję, która stała mierząc go swymi słodkimi, modrymi oczyma uniesiona jeszcze zapałem palącym jej policzki i czoło, oblana różowem światłem padającem przez kryształowe szyby komnaty. Głowa jego pochyliła się ku ziemi, a wtedy dostrzegła Flawja, jak na delikatnej jego twarzy zakwitły też mocne róże, a czarne oczy zabłysły ogniem dziwnym.

— O, Flawjo — wyjąkał wreszcie cicho, patrząc na nią jakimś płomiennym wzrokiem — jaki bóg snów pięknych dał ci przed mem nadejściem widzenie tak cudne, że pamięć jego [illegible] ęła cię takim zapałem, jakiego może nie posiadał nawet ani wielki Cicero ani wymowny Seneka? Ja i rodzice moi uważaliśmy cię za pączek rozkwitający dopiero wiosennem życiem, gdy ty mówisz, jak osiwiały filozof dawnej szkoły ateńskiej. O wytłumacz mi się jaśniej, bo zdaje mi się, że to obłęd jakiś dziwny przez ciebie przemawia, a nie ty, Flawio, tak piękna i słodka, jak fiołki i róże Kampanji. Czuję, że na ustach twych drżą jeszcze słowa jakieś, które pragniesz wyrzec jak najprędzej. Słowa te których nigdy od ciebie usłyszeć się nie spodziewałem, czynią takie wzburzenie w mych piersiach, jakiego dawno nie doznawałam. Mów Flawio, bo wiem, że nie skończyłaś jeszcze a myśli, jakie wyrzekłaś, nadzwyczaj mnie zajmują.

Ona milczała czas jakiś, a potem cichym, ale pewnym głosem wyszeptała:

— Czy znasz tego Boga, który stworzył ludzi na to, by przez życie pełne i cnoty i miłości doprowadzić ich do nieśmiertelności i bezwzględnego dobra? On jest dobry, a kto jest dobry, udziela, jak mówi Plato, dobra, by o nim nie zapomnieli, i dba o nich ciągle. On nawet, czego Plato wiedzieć nie mógł, stał się podobnym nam by tym, którzy zapomnieli o nim, przywrócić na cel naszego bytu ziemskiego i przeszłość za grobem...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Spółki autorskie.

Paweł Schönthan, pisarz na punkcie spółek autorskich doświadczony, ogłosił świeżo fejleton o tej instytucji. Doświadczonego komedjo-pisarza posłuchać warto.

W jaki sposób — pyta Schönthan pisane są utwory dramatyczne na spółkę? Publiczność ma o tem bardzo błędne pojęcie.

— Ach! — mówiono mi kiedyś — pan pisujesz treść sztuki, a towarzysz pański wypełnia ją konceptami?

— Nie.

— A więc pański towarzysz pisze treść a pan ją wypełniasz kompletami?

— Także nie.

— Więc jakże się to odbywa?

Większość paryskich spółek autorskich polega na jednej i tej samej zasadzie: Labiche, Scribe i wielu innych dramaturgów, cieszących się wziętością i sławą, otrzymało całe setki rękopisów od nieznanych, początkujących autorów.

Rękopisy te przez lat kilka wylegiwały się w bibliotekach teatralnych, poczem odsyłał je dyrektor autorom kolejno z kilkoma słodkiemi słówkami, mającymi na celu osłodzeniu gorżkiej pigułki. „Dramat pański jest bardzo udatny — pisze dyrektor na jednym z manuskryptów — ale..“ „Są w pańskiej pracy ustępy świadczące o wielkich zdolnościach, ale...“ „Z najwyższą przyjemnością wystawiłbym pańską sztukę, ale...“ To maleńkie „ale“, stojące przy komplimencie, zdecydowało o odrzuceniu sztuki.

Młody autor tedy, niedowierzający, aby to „ale“ miało być świadectwem absolutnej nieudolności, zwraca się do przyjaciół, którzy znajdują komedję świetną i radzą, aby przyszły Szekspir lub Moljer próbował dalej. Wreszcie, gdy wszystkie kancelarje teatrów widziały już rękopism, przyjaciele udzielają rady ostatniej, aby posłać manuskrypt do jednego ze znanych mistrzów scenicznych, który rzecz odczyta i, jeżeli można, przerobi. W ten sposób dochodzą często francuscy autorowie do cennych pomysłów, cennych rusztowań, na których nieumiejętna ręka pisarza niefachowego nie umiała rozpiąć zajmującej tkanki dramatycznej. W ten to sposób właśnie ukazują się najczęściej na afiszach zgoła nieznane nazwiska obok pisarzy pierwszorzędnych. Dostanie się zresztą na scenę teatru francuskiego jest połączone z tyloma i tak wielkiemi trudnościami, iż pisarz początkujący musi z konieczności schronić się pod skrzydła

pisarza firmowego, jeżeli chce, aby sztuka jego ujrzała światło kinketów.

W Niemczech warunki są korzystniejsze dla młodych autorów, bo tu jak powiada Uhland, „na niewielu dumnych nazwiskach zbudowana jest sztuka dramatyczna". Spółki aktorskie pisarzy niemieckich są prawdziwemi duchowemi związkami dożywotniemi, zwłaszcza, gdy mowa o słynnych parach twórczych. Prawa i obowiązki obu uczestników spółek niemieckich są prawie jednakowe. Ocywiście taki ścisły związek literacki jest możliwy jedynie pomiędzy dwoma sympatyzującymi z sobą talentami. Pisarz uparty, nie zgodzi się nigdy długo z pisarzem upartym, a umysł wzniosły krótko będzie współpracować z umysłem płytkim. Koniecznemi bowiem cechami obu wspólników jest skłonność do ustępstw, pewna pogoda umysłu i możliwie najsłabiej rozwinięta miłość własna. Z początku obie strony wnoszą do spółki całą świeżość swojego talentu, całą odrębność swojego sposobu tworzenia, całe upodobanie swoich własnych pomysłów. Później dopiero, po ukończeniu, jeżeli się tak wyrazić wolno, miodowego miesiąca pożycia autorskiego odrębne cechy autorów zacierają się o tyle, iż wytwarzają cechy nowe, cechy charakterystyczne dwóch ciał, ale jednego już talentu twórczego. Spólnicy mimowoli i bezwiednie porzucają drogi, któremi chadzali dotychczas, i wkraczają na drogi, po których i we dwóch stąpać wygodniej.

Spółki podobnie są tem lepiej dobrane, im dogodniej jest spólnikom iść ręka w rękę, im obfitsze obaj pisarze wnoszą do spółki kapitały twórczości i dowcipu, im gospodarkę wspólną prowadzą oględniej, im więcej mają poczucia jedności i wiary w skuteczność pracy wspólnej.

Tak więc spółki autorskie mogą być dwojakie: rodzaj pierwszy polega na tem, iż autor zazwyczaj nowicjusz, posyła pisarzowi rutynowanemu i znanemu swoje dzieło i zadowalnia się tem, że nazwisko jego zjawia się na afiszu obok nazwiska głośnego, rodzaj drugi polega na właściwem współpracownictwie sił mniej więcej sobie równych, które nietylko na afiszu stanowią spółkę autorską, ale i przy biurku w chwilach poczęcia i wzrostu sztuki.

Pierwsze kroki spółki można sobie mniej więcej w ten spósób wystawić:

— Powiedz mi, kochany A, B czy C, nie miałbyś ochoty napisać ze mną sztuki?

— Hm, dlaczego nie? Masz pomysł?

— Mam dopiero guzik. Frak trzeba przyszyć do guzika.

— Bardzo dobrze.

Tu następuje opisanie „guzika", do którego trzeba frak dorobić.

— Bardzo dobrze — rzecze słuchający opowiadania — ale nie zdaje mi się, aby panna w tych warunkach mogła działać z korzyścią dla rozwoju akcji sztuki. Wolałbym, aby to była mężatka, a wówczas mąż jej.

— Dobrze! Ani słowa! Sytuacja, która była poprzednio nieco mętna. zaczyna się wyjaśniać. Ba! Jeszcze jedno! Czy nie byłoby lepiej, gdyby rzecz działa się nie w mieście, lecz na wsi?

— Oczywiście lepiej. W akcie pierwszym będą mogły być wprowadzone wszystkie osoby działające. gdy w mieście o pretekst do wprowadzenia trudniej. Znam dobrze stosunki wiejskie.

— Dla właściciela majątku mam nawet żonę, wziętą wprost z życia. Dama ta może być blizką krewną naszej bohaterki, co usprawiedliwia jej pobyt w domu. Krewny zaś pana domu, młody hrabicz, zrujnowany. chce ozłocić swoją koronę pięciopałkową i wybiera się w konkury.

— Do baronówny?

— Tak.

— Świetnie. Mamy więc już pięć osób. Ale z opowiadania pańskiego widzę, iż hrabicz powinien być blizkim krewnym baronówny. Jeżeli zaś ma się z nią żenić, powinien być krewnym baronówny dalekim.

— Słuszna uwaga. Pomyślimy i o tem.

I tak od słowa do słowa wytwarza się szkielet dramatu. komedji lub farsy. Twórca w spółce znajduje tuż obok siebie kontrolera, kontroler twórcę. Szczegóły omawiane są później w długich, całodziennych niekiedy rozmowach, przechodzących często w spory, sprzeczki, kłótnie nawet. Kilka dni upłynęło, rusztowanie sztuki już zbudowano, ale nie zanotowano sobie ani jednego pomysłu, ani jednego spostrzeżenia. Niech sobie pomysł dojrzewa. Zbudowanie zresztą prawidłowego rusztowania jest pracą bardzo ciężką. Niekiedy odrzucany bywa rezultat kilkugodzinnej pracy umysłowej. Powstaje wreszcie rusztowanie czyli scenarjusz; charaktery są już określone, główniejsze momenty sztuki wytknięte.

Teraz dopiero biorą spólnicy pióra do ręki i wzywają na pomoc — talent, bez którego nie powstanie żadne dzieło sztuki, choćby zasiadło dziesięciu twórców do jednego stolika. Z chwilą, gdy piszący mają pióra w rękach, czynności spólników są tak za każdym razem różne, że pod ogólne jakieś prawidło podciągnąć się nie nie dadzą. W spółce dobrze dobranej spólnicy sami nie wiedzą, co od którego wyszło...

Voltaire'iana.

W dniu 20 z. m. upłynęła 200 rocznica urodzin „filozofa" z Ferney — Voltaire'a. Przeszła ona bez żadnych uroczystości i zaledwie ten lub ów z dzienników po świecie zdołał sobie o niej przypomnieć. Czytelnicy pojmą chyba doskonale, iż zapomnienia tego nie myślimy wcale potępiać, ani nad niem ubolewać, owszem moglibyśmy tylko zwrócić na nie uwagę, jako na charakterystyczne bądź co bądź znamię czasu. A ponieważ zahaczyliśmy już o tę rocznicę, pragniemy więc z tej okazji wyciągnąć na korzyść tej naszej rubryki to, co nawet z Voltaire'a da się wyciągnąć, zwłaszcza, że tą

korzyścią będzie tylko... zabawa myślącego czytelnika.

Mamy tu na myśli jedynie dowcip filozofa z Ferney, nacechowany wprawdzie gorżką ironią i zjadliwym sarkazmem, ale przecie tak nieraz mocny w swoich argumentach, iż wyjaśnia on po części tajemnicę znaczenia, jakiego ten spaczony, choć genialny, umysł dobił się w swoich czasach. Oczywiście, że przytaczając nawet tylko anegdoty tego rodzaju z życia Voltaire'a, musimy czynić w nich wybór, większość ich bowiem, odpowiadająca może owym czasom byłaby dla dzisiejszego czytelnika nieco za gburowatą.

Pewnego razu chwalił Voltaire w licznem towarzystwie poetę i przyrodnika Albrechta von Haller, który jednak niejednokrotnie ganił surowo filozofa z Ferney. Jeden z obecnych zauważył: „Pan chwali pana Hallera, gdy on wcale inaczej wyraża się zawsze o panu?“ „Masz pan słuszność — odparł Voltaire – ale bardzo być może, iż obaj z Hallerem się mylimy.“

Pewien malarz przedstawił go raz na portrecie, jako Apolla. Zazdrośni śmiali się z tego zaniku smaku, Voltaire bowiem, jak wiadomo, wcale nie mógł uchodzić za przystojnego. Doniesiono mu o drwinach z tego powodu, na co odparł: „Moi nieprzyjaciele powinniby być zadowoleni, bo gdyby malarz był mnie przedstawił jako Sylena, musiałbym ich użyć do jazdy.“ (Jak wiadomo, Sylenów przedstawia mitologia na... ośle.

Do wydawcy swych dzieł napisał pewnego razu: „Nie drukuj tak wiele mych utworów, bo im większy będzie mój bagaż, tem trudniej odbędą moją podróż do potomności“.

W obecności jego rozprawiano raz o starości świata. Aby gorącą dyskusję przerwać odezwał się Voltaire: „Sądzę, iż świat podobny jest do starej kokietki, która nie chce wiedzieć, ile ma lat.“

Pewien młody lekarz zastał go raz wieczorem pijącego kawę. — „Na boga, zawołał — pan pijesz — pan pijesz na noc kawę? Ależ kawa jest powolną trucizną!“ — „Może pan masz rację — odparł Voltiare — bo pijam ją już od lat sześćdziesięciu“.

Nie zawsze jednak dowcip dopisywał Voltaire'owi i czasem śmiech obracał się przeciw niemu. Tak np. było z jednym najzagorzalszych jego przeciwników literackich, redaktorem Freronem. Jeszcze przed okazaniem się sztuki Voltairea p. t „Merope“ na scenie, skrytykował ją Freron bezlitośnie. Aby się zemścić na swym krytyku, ogłosił Voltaire nowe wspaniałe wydanie „Merope“, pomieszczając przy tytułowej karcie rycinę, przedstawiającą osła, obgryzającego wieniec laurowy. Freron zawsze sumienny, odwołał w najbliższym numerze swego pisma część pewną postawionych sztuce zarzutów, ale zarazem, pisząc o nowym wydaniu „Merope“, doniósł, iż jest ono bardzo wykwitne, i ozdobione portretem autora. Wówczas Voltaire, nie mogąc sobie z dowcipnym redaktorem poradzić, wykupił całe wydanie książki i zniszczył je czemprędzej.

Na pochlebstwa był Voltaire bardzo czułym i przy ich pomocy każdy mógł go był dla siebie pozyskać. W ten sposób — może nawet mimowolnie — pozyskał go sobie słynny malarz Horacy Vernet. Gdy bowiem Voltaire chwalił pewnego razu żywy koloryt jego obrazów. Vernet odparł: „Z pewnością jednak zblednie on prędzej, niż pański geniusz“. Odtąd Voltaire, gdzie mógł, wynosił pod niebiosa słynnego malarza.

Posiadał też wygórowaną próżność i gdy kto ją zadrasnął, nie znał już dla niego litości.

Pewnego razu, pisząc w Ferney swą tragedyę „Catilina“, przywdział togę rzymską i począł chodzić po alejach parku, deklamując wiersze ze swego dramatu przy żywej bardzo gestykulacji. Jednemu z jego ogrodników wydało się to śmiesznem, parsknął więc w głos i za to postradał natychmiast służbę. Nazajutrz otoczenie Voltaire'a poczęło się wstawiać za biedakiem ale napróżno, właściciel Ferney bowiem pozostał nieubłaganym. Wypłacił oddalonemu całoroczną pensję, ale rzekł, iż „nie mógłby u siebie ścierpieć człowieka, który rozśmiał się w nos — Cyceronowi.“ — Tyle o filozofie z Ferney z okazji wspomnianej rocznicy.

Z podań skandynawskich.

W eterycznych światach sferach,
W nieskończonych słońc przestrzeni
Stoi jesion, Igdrasilem
Zwany jesion przeogromny,
Który całą ziemię naszą
Na konarach dźwiga swoich
Jeden korzeń do Niflheimu
Sięga aż do państwa śmierci,
W którem władzę Hel ma srogą,
Drugi, aż do Jotunheimu
Idzie, gdzie Jortuny siedzą,
Trzeci zasię do Midgardu
Zmierza, krain ludzi zwykłych,
Słabych, nędznych i śmiertelnych.
Obok drzewa aż trzy studnie
Wodę czystą dają światu:
Pierwsza — studnią jest mądrości,
Nosi miano Hwegelmiru,
Druga — studnia pilnowana,
Przez olbrzyma, przez Mimira,
Trzecia znowu, Urd się zowie,
Jest strzeżono przez trzy dziewki,
Trzy boginie przeznaczenia.
Jesion wznosi swój wierzchołek
Aż do kraju dzielnych Azów
Co Asgardu nosi miano.
Do Asgardu zaś prowadzi
Droga barwna, bo tęczowa,
Na przepysznym tęczy łuku
Wyciągniona i ginąca
W lazurowej wielkiej sali,
Co Walhalli nosi miano,
Kędy Odin dzielnym daje
Żywot w wiecznej szczęśliwości.